

Smutnygodnik dla Kobiet.

PISMO

BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok I.

— ✂ Poznań, 9 lipca 1881. ✂ —

Nr. 21.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Długa ulica 8. Oplata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mrk., roczna 12 mrk. z dostawieniem egz. do mieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całym państwie pruskiem i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcyja: kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicyi wynosi rocznie 8 zlr., półrocznie 4 zlr., ćwierćrocznie 2 zlr., za co się przesła franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach: S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiej we Lwowie. Inseraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwulubowego.

DWA GROSZE NA DROGĘ ŻYCIA.

Wychowanie syna było po wszystkie czasy szczytnem, lecz i trudnem dla matki zadaniem, dziś trudniejszym jest, niż kiedykolwiek, ponieważ krócej pod jej kierunkiem zostaje, a wszystko, co jest w stanie uczynić dla dalszego jego wykształcenia t. j. nauki, które mu udzielać każe, szkoły, do których go oddaje, skażone są niewiarą, zwątpieniem. Jak trudnem bywa stanowisko matki-chrześcianki, gdy podrastający syn z dumą rozwija przed nią cały zapas zdobytej umiejętności, chełpi się z bezwzględnością dziecka błyskotkami pochwytywanej wiedzy, której niedostatki i fałszywe drogi czuje ona i pojmuje doskonale, choć zbywa jej może na wszechstronnej nauce, aby wykazać zwycięzko fałszywość źródeł, z których ten, lub ów fakt czerpany, wyjaśnić że ta, lub owa sprzeczność dziejowa lub przyrodnicza między nauką kościoła a nowoczesną dawną już została wyświecona, ten system przed wiekami w proch rozbity. A gdyby i miała tę naukę, kto wie, czyby się nie lękała jej użyć, aby nie podkopywać powagi nauczycieli, tej powagi tak mało cenionej i przestrzeganej, a która w nieobecności rodziców ma być osłoną ich dziecka. — Smutny zaprawdę los matki: — gdyby syna umieściła w zakładzie, gdzie zarazą wybuchła, jakże prędkoby go stamtąd odebrała; jakżeby bolała, gdyby mu dano na mieszkanie pokój ciemny i wilgotny, na pożywienie chleb suchy i strawę niezdrową, a ta najlepsza częśćka jej syna, dusza i umysł jego, przepędza całą młodość w atmosferze wrogiej wszystkiemu, co powinien kochać i szanować, a nie może go stąd wyrwać. Jakże łatwo ją wtedy rozpacz, lub równie zgubne zobojętnienie ogarnąć może. A jednak takiej boleści doznawały już matki w innych czasach, kiedy nie tylko szkoły, ale gorzej jeszcze, bo ojcowie i krewni systematycznie pragnęli oswobodzić dziecko od tak nazwanych przesądów, a sofizmatem i szyderstwem wyziębiać ich serca, a przecież i wtedy ocalali niektórzy.

W życiu pani de Rochefoucauld ciekawy jest szczegół o jej synu, który niejednej matce może dodać odwagi. Rochefoucauld był delikatnem dziećciem i dla tego rodzice jego, mieszkający w Paryżu, osadzili go na wsi z zaufaną piastunką. Była to kobieta prosta, ale pobożna, a miała ten sąd bystry, zwykły umysłem, które nigdy fałszu nie zaznały. Kochała swoich państwa, ale widziała ich ułomności, nie

rozumiała rozpraw i dowcipów, które się w czasie długoletniej służby o jej uszy odbijały, ale czuła, że zdolne obalamucić młode serca i drżała o przyszłość powierzonego sobie dziecienia. Gdy więc chłopię nabiegało się po kwiecistych trawnikach i odpoczywało pod cieniem starych wierzów ojczystego parku, uczyła go treści mądrości i prawdy, która się nazywa małym katechizmem, a biorąc go na kolana i pokazując wieżyczkę wiejskiego kościoła, kazała mu powtarzać króciuchną modlitewkę: „nie daj, Boże, aby fałszywe nauki osłabiły moją wiarę.“ — Po roku ojciec odebrał chłopca, a chcąc go według własnych zasad wychować, dobrał mu nauczyciela, który przy rozległej nauce miał go usposobić na doskonałego niedowiarka i szydercę. Chłopiec chciwy był nauki, olśniewał go zakres wiedzy, roztwierający się przed nim, ale czuł się smutnym, jakoby tracił grunt pod nogami, jakoby niebo zapadało się nad jego głową i w trwodze niewymownej przed każdą lekcją usuwał się do swego pokoiku i z głębi serca powtarzał: „nie daj, Boże, aby fałszywa nauka osłabiła moją wiarę“ — i wyrosł młodzian o świetnych zdolnościach i na ciężkie czasy ostatnich lat przeszłego stulecia żyć mu przyszło. Wokoło waliły się trony i magnackie majątki, wiary i przekonania, a on umiał zawsze kochać to, co było piękne, pozostać wiernym temu, co niewzruszone.

I naszym dzieciom na twarde czasy żyć przychodzi, dajmy im na tę drogę żywota dwa grosze Samarytanina: miłość wiary i miłość ojczyzny; te dwie miłości i dwa obowiązki, zdolne zapelnąć jego życie i zamknąć drzwi do fałszu i małostek samolubstwa. Miłość ojczyzny zdaje nam się wrodzona, a jednak nie ufajmy sobie zbyt. Kiedy patryotyzm przedstawiał się, jako zapal i walka orężna, któreż serce młode czy stare nie zabiło goręcej na myśl ofiary, a na hasło znanej pobudki nie rwało się radośnie nieść życie i mienie? — Dziś inaczej! Poświęcenia, których teraz ojczyzna wymaga, nie przemawiają do imaginacyi, a jednak zapalu wystudzić nie powinny; winny one przenikać całe życie, kępować upodobania, walczyć na każdym kroku z stosunkami zewnętrznymi i z nami samymi: tam wywalczać, co się uda; w nas walczyć bez ustanku z wygodkami, sobkostwem, zwątpieniem, a wielki cel mieć zawsze przed oczyma; umieć cze-

kać, choćby całe życie, a nadziei nigdy nie tracić; patrzeć z odwagą na ruinę najdroższych pamiątek, a mozolnie z prochów ulepić cegielki na odbudowanie gmachu. Zaiste, trudne to zadanie i nie słabego wychowania owoc.

Trzy spotkania.

Młodziutkie chłopię, młodziutka dziewczeczka
Raz się spotkali w wiosny swojej świecie,
Trwało to chwilę — lecz taka chwileczka
Blaskiem wspomnienia lśni przez całe życie.

Dzieweczka oczki spuściła nieśmiało,
Stając, jak śliczny posąg zawstydzenia,
A w chłopcu serce niewinne zadrżało
I cicho od niej zażądał — wejrzenia.

Od owej chwili czasu błyskawicą
Przemkło lat parę, jak technienie po stali,
On już młodzieńcem, ona już dziewicą —
Po raz się wtóry ze sobą spotkali.

Wtedy — jak róża zapłonęła ona
Od namiętnego ócz jego połysku;
On drżące ku niej wyciągnął ramiona,
Gestem i słowem blagając — uścisku.

I znów lat kilka zginęło w przeszłości,
Jak giną listki uwiedle w zamieci,
Gdy kaprys losu w życia dojrzałości
Tych dwoje zetknął znowu po raz trzeci.

Lecz on już przed nią stał zimny, jak skała,
I milezał, niby głaz na sarkofagu;
Bo cóż miał mówić — widział, że nie miała
Tego, co szukał obecnie — posagu.

Hajota.

Z rękopisów Zygmunta Krasińskiego.

Koniec roku 1838 i początek 1839 stanowią w życiu Zygmunta Krasińskiego chwilę najsmutniejszą; — był to czas „zwątpień i rozpacz”, jak mówi hr. Tarnowski, „chwila jakaś, w której on sam nie posłuchał rozkazu, jaki daje Irydionowi: „Idź i czyń, choćbyś miał o mnie samym rozpaczć.” — Był nawet czas, w którym przez „zwątpienie w sprawiedliwość historyczną zachwiała się jego wiara w Boga,” — lecz trwało to bardzo krótko — nie pozostało jednakże bez śladu w pismach wielkiego wieszczą; okazuje się to poniekąd w „Trzech myślach Henryka Ligenzy,” lecz najdobitniej w listach poufnych do przyjaciół; oto co pisze w liście datowanym z Neapolu 29 Grudnia 1838 r.: „Najczęściej wieczór przepędzam u siebie, sam jeden: — świeca gdzieś za parawanem tleje, myśli moje snują się bez końca, ale nieskończonością goryczy, smutku, wstępu. Jeżeli czasem zjawi się cicha chwila wewnętrzna — twórcza — natchniona, — to cud! cud, który dawniej bywał powszednim chlebem. I tak żyję, nie ten, którym-bym być powinien, ni ten, którym byłem niegdyś, będę innym kiedy?” Lecz to dopiero początek zwątpienia — boleści, która wkrótce w rozpacz się zamieni: „Żebyś mnie widział (pisze w liście z dnia 20 Stycznia 1839 r.), kiedy leżę wieczorami sam jeden w swojej izbie, myślałbyś, że już dostałem się do piekła; nie do owego, gdzie płomień bucha — ale do gorszego, gdzie próżnia nieskończona i brak

wszelkiej nadziei i myśli; do piekła dusz, które niegdyś żyły w niebie i poszły na wygnanie potem i czują dobitnie w każdej chwili sekundzie, że nigdy do nieba nie zdołają powrócić; bo z nas samych śmieje się niebo nasze, jak nici z pajaków. Wszelki zewnętrzny objaw, o tyle tylko nas może unieść i rozradować, o ile w nas jest usposobienie do przyjęcia go w siebie. Inaczej wszystko martwe i głuche! Nie ten golf jest błękitny, ale myśl moja; a dziś, gdy myśl moja szarą się stała, co mi po tych falach?” Następnym zaś słów kilka malują już najczarniejszą rozpacz człowieka, który jakoby zwątpił prawie o wszystkim: „Czy ty wiesz, co mnie czeka? Czy ty wiesz, że może za pół roku obaczę się w najdzikszym, w najzagmatwanym położeniu, gdzie stracę rozum, nie wiedząc, komu się powierzyć, czy diabłu, czy aniołowi stróżowi, czy przypadkowi ślepemu, czy rachubie? — I jęcze mnie rozszarpia — prosz Boga za mnie, ja już i modlić się nie umiem za siebie! Gdy wejdę do kościoła, jakiś wstręt, jakiś dreszcz mnie chwytą; chcę ukleknąć i sztywnieją kolana; chcę zacząć Zdrowaś Marya, — a to imię Marya, jedno tylko, samo jedno z ust moich wychodzi, reszta w gardle utyka!”

„Tak więc dzień mija za dniem i corazem bliższy przepaści. Wszystko, co mi zdarzy się w życiu, będzie formą tylko, a nie treścią, fałszem, a nie prawdą, liberyą, włożoną na barki, a nie własną szatą; muszę, a nie wolnością; męką, a nie pokojem . . . i koniec tego zgubnym będzie!”

Lecz nietylko w poufnych listach do przyjaciół napotyka się ślady tego smutnego stanu duszy wieszczą, widne one i w poezji, świadczą oto ustępy takie, jak ten:

„Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: „Tu niema nadziei!”

Albo owo miejsce w „Dniu dzisiejszym“:

„Mnie smutek zabił — mnie gorzkie koleje —
Mnie gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń —
Mnie krok leniwy ogniaśniętych zdarzeń —
Mnie te dni naszych wciąż tak podłe dzieje!

Jam pił zanafto z krynic mętnych łzami —
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem!
Wiek wołał „czekaj” — rok, ciągnąc za ręką,
Co dzień świeżemi witał mnie trumnami!

Ach! teraz wszystkie — te wszystkie obrazy
Wala się na mnie, jak grobowe gazy,
Mówcie mi, bracia — spokojne pacierze —
W ostatnich zgonu podrzutach już leże!” —

Długo jednakże stan ten okropny nie trwał; tak wielka dusza, jak Zyg. Krasińskiego, długo w ciemnościach nicości błąkać się nie mogła, — to też już w połowie Lipca 1839 r. napotykamy w liście datowanym z Drezna, następne słowa: „sefera ducha mego à la bûche, przewróciła się na osi swojej. Dziwne wypadki, których opowiadać nie mogę pismem, bo trzebaby ustami, — wciąż gnęły mnie w myśli i uczucia, które nieco rozgoniły owę czarną, piekielną, przekłętą tęschnotę, co mi groziła zgłupieniem ostatecznym i pozbawieniem wszelkiej czynnej siły. Znowu uczułem się sobą, uczułem się żyjącym nietylko w przeszłości, ale i w teraźniejszości; — w przeszłości też pojąłem ową wielką prawdę, że życie jest to, co idzie naprzód i rozwija się, jak idea; nie to zaś, co stoi martwe, jak marna abstrakcja, a przeszłość tak w indywiduum, jak w ogóle ludzkości, kiedy ściśle i organicznie niespojona z teraźniejszym i przyszłym czasem, jest tylko umarłą abstrakcją! Otóż ja przez lato całe w takowej żyłem, w takowej niszczyłem siebie, nie żałując tego; wszystka i dobra

Do przyszłego listu odkładam sprawozdanie z „Numa Roumestan,” nowego romansu Alph. Daudet.

W.

Rzym, niedziela dnia 19 czerwca 1881.

(Wycieczka nad jezioro albańskie.)

(Dr. K. Ł.)... Mnie w Rzymie obecnie weselej. Znalazłem bardzo mile towarzystwo artystów i literatów. Choćby krótkie nawet, codzienne widywanie się i ożywiona gawędka z swoimi niezmiernie dużo ma uroku. Schodzimy się zwykle na śniadaniu i obiedzie u jakiegoś „Miemca,” jak go wszyscy nazywają, który okropnie źle gotuje, ale którego mimo tego nikt opuszczać nie myśli, bo przyrządza on nieraz rzeczy, które się w domu jadają, które w domu niekoniecznie smakowały, a obecnie wydają się specyałami. Siemiradzki, będąc człowiekiem ożenionym, nie często nam dotrzymać może towarzystwa, tylko jeżeli go zdejmiemy apetyt na marynowanego śledzia, to i on u „Miemca” się zjawia, witany naturalnie serdecznymi okrzykami. Niekiedy robią się wspólne wycieczki i przed tygodniem właśnie zaimprovizowaliśmy taki spacer, że równie waryackiego sobie nie przypominam, choć już nieraz miałem sposobność przeceniać moje siły. Było nas sześciu. Pięciu miało jechać rano do małej, ale uroczej, prawie z samych willi złożonej miejscinki, Frascati; ja zajęty całe rano, dopiero w południe miałem ruszyć z Rzymu, połączyć się z nimi na śniadaniu w Frascati i potem wspólnie dalej pieszo w góry albańskie. Był rozkaz, żeby tam i z powrotem jechać klasą trzecią, rozkaz groźny i srogi, godny twórcy pochodni Nerona, który go wydał, szczególnie dla mnie, mającego jechać tylko z samym sobą. Starożytni Rzymianie tyle mieli tak zwanych term, czyli łaźni, tak się rozkoszowali w kąpielach i myciu, że tegocześni Włosi myślą, iż już tamci za nich się wymyli i wykąpali na kilka pokoleń jeszcze. Stąd wątpliwa wszędzie czystość na każdym Włochu, a gdzie się otrze, lub chwyci, tam zostawia albo malowany, albo żywy jaki znak. Wybrawszy sobie miejsce, zwyżłem się do rozmiarów linii matematycznej, żeby być izolowanym; niestety, żywy sąsiad prawy, okręcając się na miejscu, wciąż mnie najeżdżał, tak, że zmuszony byłem często trącać o lewego, a już nie wiem, który z nich był lepszy i mniej niebezpieczny. Przykrość położenia zwiększał jeszcze gęsty dym cygar, nie mówiąc o krzykach, które dla innych przykre, dla mnie były rozrywką, prawda, że na koszt nerwów, ale na korzyść obserwacyi ludu. Był jakiś młody Włoch, trochę może napiły, jadący sam z tak przepełnionem widocznie sercem, że od czasu do czasu folgując sobie, zaczął sobie w wagonie swobodnie krzykać, jakby nikogo nie było, dając zawsze jeszcze dowód dość wielkiej względności, że odwracał się do okna i na Kampanię dzikie swoje wylewał głosy, jeżeli przypadkiem spostrzegł, lub zdał sobie sprawę, że wagon przepełniony ludźmi. Inni znowu, skacząc, tańcząc, prawdziwe widowisko z błaznami urządzali, a że nieraz przez okna nie powylatywali, to już tylko szczęśliwej swej gwiazdzie zawdzięczają. — Siedziałem więc w takim towarzystwie, które naturalnie dopiero w trakcie podróży coraz wybitniejszy przyjmował charakter, siedziałem, to patrząc z pod oka na sąsiadów i vis-à-vis, to siląc się odczytać rozmaite napisy na okopconych, osmarowanych, brudnych ścianach wagonu. Już pociąg miał ruszyć, kiedy po przez krzyki i dymy usłyszałem przedzierający się do mnie tubalny głos, wołający mnie po nazwisku. Nie zdołałem sobie zdać sprawy, kto właśnie mógł mnie wołać, zerwałem się z miejsca, udepnąłem po drodze jakiegoś Włocha tak serdecznie, że jak wiatrak rozpuścił język, miałem nieprzyjemne jakieś wyrazy nieukontentowania, — i spocząłem w objęciach marodera-literata, który mając mnie uprzedzić, że nie do Frascati, ale do Marino się jedzie, spóźnił się na pociąg ranny i obecnie rozpaczliwym głosem na nieme wołał wagony, żeby mu mnie wydały. — Zajęliśmy we dwóch dawne moje miejsce, było nam raźniej, ale jeszcze ciaśniej

i duszniej, tem więcej, że Włoch podeptany nie przestał okiem wylewać na nas swej żółci, tłómacząc sobie bezwątpleniasze nasze śmiechy tem, że żarujemy z jego bólu.

Droga bardzo malownicza. Po jednej i po drugiej stronie kolei pełno ruin rzymskich; wodociągi o łukach, ciągnących się na kilometry, rozwaliny świątyń i grobowce patrycyuszów, poważne romiarami i stylem prostym, zmieniały się co chwila, a wszystko na tle bezmiernej płaszczyzny, falującej bujnym poroślem chwastów, ostów i pokrzyw, lub pokrytej na całe przestrzenie czerwonymi kobiercem kwitnących, dzikich maków. Gdziekolwiek tylko smugi uprawnej ziemi i pola zasiane zbożem; częściej winnice, lub łąki, w nich stada owiec i kóz, uciekających na złamanie nóg za zbliżaniem się maszyny. Pastuch w malowniczym stroju przypomina owych pastuszków na obrazkach, składających hołd Chrystusowi Panu u żłóbka w stajence w Betleem; obok pastucha wierny pies, drżący z przestachu na syk lokomotywy, tulący ogon i rzucający od czasu do czasu kudłatym łbem w tył, w opuszczone stanowisko, jakby niemym gniewem chciał złorzeczyć ludzkiemu wynalazkowi.

Przebywszy Kampanię, wjeżdża się w okolice górzyste, pokryte lasami liściatemi, lub willami. Otaczają je rozległe winnice, albo ogrody z drzew oliwnych.

Marino na samym wstępie owych miejsc. Przyjechalismy. Głodni pędzimy do restauracyi, w miejsce zbioru. Po drodze zaledwie z pośpiechu zdać sobie możemy sprawę z tego, co widzimy: coś, niby średniowieczne, warowne miasto, gniazdo jakiego włoskiego Raubrittera. Rzeczywiście na murach i bramach widać herb rodziny Colonna. Na wązkich uliczkach ruch niezwykle. Odpust, imieniny św. Barnaby. Ludek dążył do kościolków, albo po modłach odpoczywał, wyciągnąwszy się po prostu wzdłuż domów na kamieniach, niby jaszczurki na piasku, lub na poprzek chodników, tak, że my po przez ludzi musieliśmy skakać, jak konie w cyrku przez patyczki. Jedyne plac o fontannie i szerokie wschody kościoła całe literalnie pokryte były na pół ubraniami, rozwalonemi niedbale, opalonemi ciałami Włochów. Kobiety mniej niedbale wypoczywały, siadały skulone i tuliły się do siebie, kładąc jedna drugiej sennie głowy na kolanach, ramieniu, lub na tłomoczku z żywnością. Po drodze, mijając grupy, grające w morę, w morone, lub troję, zdobyliśmy pęczek rzodkiewek i uzbrojeni tym specyałem wstąpiliśmy w progi oberży. Rozległy się niewyraźne okrzyki powitania z ust zajętych właśnie konsumowaniem tak zwanego dolce t. j. ciastko, poprzedzające deser owocowy. Nasze rzodkiewki wywarły wpływ olbrzymi. Wszystko się na nie rzuciło, a pierwszy wielki mistrz urwał jedną z pęczka i zatknął sobie w dziurkę od guzika przy tużurku. Wyglądaliśmy wszyscy, jak oficerowie legii honorowej z czerwonym guzikiem u tużurka.

Restauracya była włoska, nawet italianissima. Ludzie, psy, kozy, kury, wszystko używało lokomoryi po sali jadalnej; ludzie, żeby jeść, samym sobie służąc; psy, żeby ogryzać rzucane reszty; kozy, żeby dać od razu świeżego mleka, a kury, żeby zachęcić do konsumacyi pieczeni. Niestety! nam trzeba było w drogę! Zjadłszy jakiś kawałek mięsa z czosnkiem, garniowany groszkiem i szynką, popiwszy wybornem, co prawda, winem, w humorach różnych puściliśmy się na spacer troszkę z planem, więcej jednak bez planu, ot! tak w przestrzeń. Wąwozami, dolinami, granicami pagórków, lub stokami gór przechodziliśmy uroczyste partye lesiste, lub odkryte, po których pasły się kozy, zawieszając się nad przepaściami, jakby tam najsmaczniejsze rosły roślinki. Po drodze, gdzieśmy dopadli bitego traktu, ruch był dość znaczny. Mijaliśmy fiakry, zajęte Włoszkami warstw niższych, w białych kaftanach od słońca, z bukietem sztucznych kwiatów i sztyletem, albo spilką olbrzymią w włosach, a rozrzuconych w dorozce niby monsignory. To znow zaprzężony w jednego konika pędził na złamanie karku carretto o dwóch kołach, z wysokim siedzeniem, zajętem przez właściciela, podniecającego konia jakim gardlanym wykrzyknikiem, równającym się tylko owym dzikim głosem gondolierów, rozlegającym się w kanałach Wenecyi przy każdym zakręcie. Mijaliśmy dużo konnych.

Nasamprzód owych w Kampanii charakterystycznych botterów, rodzaj farmerów, gospodarzy, może gburów, jadących lub wracających z Rzymu po odrobieniu interesu. Na czarnych, dziarskich konikach, idących wciąż półkłusa, na olbrzymim siodle, w czarnym płaszczu, podbitym wypłowiałą, zieloną flanelą, w ręku kij długi ze dwa metry, śpiczasty kapelusz, wsunięty głęboko na czoło, twarz ogorzała, często gęstym pokryta zarostem, oczy czarne, gorące, otóż postać, spotykana na każdym kroku na Kampanii rzymskiej, to bottero! Mijaliśmy dalej muły, osły, używane pod wierzch, nareszcie najoryginalniejsze zjawisko! widzieliśmy dwie dziewczyny, jadące na jednym koniu po mężku. Jak się wstydowały!! Bo naturalnie z naszej strony nie obyło się bez zaczepki.

Okolica niezmiennie zachowywała charakter wiosennej świeżości, pełnej woni, kolorów i gry światła. Dotarliśmy do pierwszego wypoczynku, do Castel Gandolfo, jedynej posiadłości, którą odstąpił, czyli zostawił rząd papieżowi. Miasto same małe, na górze, puste, niby senne. Na rynku kościół, przed nim fontanna, przy której rozmawiają syndyk z proboszczem, naprzeciw kościoła kawiarnia, przed nią na krzesłach siedzimy my, trzech pije kawę, jeden wino, piąty orszadę, ostatni nic.

Ledwieśmy wyszli poza bramę miasta, odsłonił nam się widok wspaniały. Byliśmy na górze, panującej nad całą okolicą. Po lewej stronie mieliśmy wielkie jezioro albańskie o wodzie szmaragdowej, zaledwie trochę tylko pomarszczonej falami, wielki basen wody, objęty w piękne ramy zielonych stoków gór, na których szczytach gdzieś dawniejsze świątynie, obecnie kościoły, a u których stóp, albo na których pochyłościach amfiteatralnie pobudowane miasteczka, lub osady. To po lewej. Po prawej stronie widok dalszy, rozleglejszy, nieskończony. U stóp naszej góry Kampania, w niej widna węzłem rozwinięta wstęga Tybru, dalej gładkie, jak zwierciadło, srebrne, równe, a piętrzące się w górę, nieobjęte okiem, wspaniałe, majestatyczne morze. Nigdy tyle rozkoszy nie czułem w oddechu, tyle oroku w wielkiej harmonii barw i powietrza, błękitu nieba, promieni słońca, srebra wody, zieleni drzew i świeżości powiewu. Mieliśmy u stóp naszych sielankę i dramat: tu pieszczotliwe jezioro albańskie, — tam groźne, choć spokojne morze, straszne nieskończonością, przejmujące jakąś bałwochwalczą czcią dla majestatu żywiołów. Robaczek świętojański obok łuny krateru, to jezioro albańskie obok morza.

Ktoś spojrział na zegarek i zawołał: Avanti! (naprzód!) Czas naglił. Mieliśmy w programie obejść całe jezioro albańskie i o samym zachodzie słońca, na Ave Maria, albo na godzinę 24-tą, jak to lud jeszcze liczy, zdążyć na ostatni pociąg z Frascati do Rzymu. Przyspieszyliśmy kroku, gawędząc zawsze wesoło i wciąż idąc rzędem niezłamanym. Wkrótce przyszliśmy nad drogi rozstajne. Zdania się podzieliły, któredyby iść. Tymczasem zjawia się jakaś baba i na zapytanie nasze zaręcza, że trzeba iść dołem. Po babie przechodzą chłopcy z poziomkami, ci się zaklinali, że iść trzeba górą. Wybraliśmy górę, ale ponieważ zrodziły się już pewne wątpliwości co do drogi, więc krok nasz stał się coraz szybszy, ustały rozmowy o botanice, mineralogii, widokach, a powtarzały się częste pytania: dokąd dojdziemy? czy zdążymy na pociąg? czy trzeba będzie nocować w Frascati? Szereg nasz się złamał. Przodem szło dwóch, potem jeden, potem trzech. Droga stawała się coraz gorszą. Trzeba było skakać po wertepach, piąć się po wulkanicznych skałach, wdawać się w salta mortale. Raz będący na czele brygady miał zamiar zjechać obowią, żeby przejść kałużę, którą potem kołem ominięto. Zarosła wciąż gęstsze, ktoś wspominał o bandytach, stawiano przypuszczenia, dokąd właściwie dojdziemy, a zdania wciąż się różniły. Robiło się różne wysilenia, żeby wyjść z labiryntu ścieżek. Wtem kościół: Madonna del Tufo! Ładny, mały, schludny, wyglądał ślicznie wśród tych zielonych lasów, sam, bez żadnego innego zabudowania. Przed nim na placu, w półkole, dwanaście kamieni o krzyżach, to droga pasyjna. Miałem ochotę pomodlić się w tym kościółku, tak było cicho, tajemniczo, uro-

czo! Dziwnie tu chwytala za serce idea kościółka; do cichej modlitwy i przytłuku. Wtem: Excellenze! un paiocco! — woła ktoś od wieży. Dostrzegliśmy jakąś głowę, wychyloną poza balustradę facyaty. „Co tam robisz nicponiu?“ — „Dziś święto! Przygotowuję ognie sztuczne, na wieczór będziemy je palić.“ Rzeczywiście dostrzegliśmy kilka rac na tyczkach i sztuczne słońce, przyczepione w samym środku fasady. Chłopiec dostał pajocca (5 fen.) a my ruszyliśmy dalej, pokrzepieni trochę wypoczynkiem kilku minut pod murami Madonny del Tufo. — Przekonawszy się po lekkim zorientowaniu, że tu chodzi o minuty, zaczęliśmy po prostu gonić, obawiając się jeden o drugiego, a wszyscy razem o mistrza, żeby mu czasem ten wybryk nie zaszkodził. Mistrz szedł tegim, wyciągniętym krokiem, dowcipkując od czasu do czasu, śmiejąc się, że nie może rościć pretensyi na przewodnika. Trzy kwadranse jeszcze do następnego wypoczynku w Rossa di Papa. Dobiliśmy. I tu odpust. Na rynku gra muzyka, lud słucha, dziewczęta w jednej gromadzie, chłopcy zbici w drugą. I tu będą ognie sztuczne wieczorem. Wypiliśmy trochę wina, nie dobiliśmy targu o powóz i konie, rozpytaliśmy trochę o drogę i — avanti! Mieliśmy jeszcze 8 kilometrów, a godzinę i 10 minut czasu. Trakt, jak zwykle, z góry łamał się w zygzaki. Wciąż biegliśmy na przełaj. Tymczasem, zboczywszy na jakąś ścieżkę, zamiast znowu na trakt, doszliśmy na cmentarz; trzeba było wracać; straciliśmy 10 minut czasu i spochmurnieliśmy, tłumacząc sobie fatalizmem cmentarz na drodze. Nie było jednak czasu oddawać się wrażeniom, ani smutnym, ani wesołym. Ledwie można było popoľgować ciekawość córy Lota, obejrzeć się na uciekające od nas Rossa di Papa, rozłożone malowniczo stopniami w stoku góry, skąd do nas wciąż jeszcze dolatywały dźwięki muzyki. Weszliśmy w dolinę, przeszliśmy most ponad małą jakąś rzeczką i pod górę! avanti! avanti! Tu już nikt nie mówił, słysząc tylko było tentent kroków i przyspieszony oddech. Na złość ani jednego próżnego powozu! Miałoby się ochotę przysiąść z tyłu do siedzenia! Jeszcze dziesięć minut. Na szczęście góra się kończy. Dopadamy do miasta. Dwóch pierwszych w rynku siada w dorózkę, jedzie zbierać maroderów i pędem na dworzec! Stanęliśmy 2 minuty przed odejściem pociągu!

Odetchnęliśmy, rzuciwszy się na twarde ławy wagonu. Spojrzeliśmy po sobie! Byliśmy w komplecie, ale jeden ledwie oddychał, drugi błady, jak ściana, trzeci czerwony, jak upiór i t. d. Pociąg, jakby nam chciał pokazać, że i on umie być farysem, szalenie pędził przez Kampanię. Na dobre odpoczęliśmy dopiero u „Miemca“ na obiedzie! Co do mnie, byłem niezmiernie zadowolony z wycieczki, ale robiłem sobie wyrzuty, czy też tego dobrego nie było trochę zanadto. Obiecaliśmy też sobie, że nie tak waryackiego już nie zrobimy. Od trzech kwadransy na 3-cią do 7-ej, minut 48 zrobiliśmy coś około 30 kilometrów. Musiałem chyba gdzieś po drodze zostawić moje zrujnowane płuca, bo z niemi trudnoby było dokonać czegoś podobnego. Chwała więc Panu i Madonnie del Tufo! której kościółek tak mi się podobał.

Kraków; 6 lipca.

(J.) Kraków w porze letniej tem się różni od wielu miast naszych i obcych, że te ostatnie sezon letni wypróżnia i ogalaca z żywiołów ruchliwych, gdy gród wawelski przeciwnie — teraz dopiero się ożywia i napełnia przejezdnyimi ze wszystkich dzielnic Polski, nie licząc przybyszów obcych. Każdy udający się do wód krajowych, lub zagranicznych, zatrzymać się musi w Krakowie, a wielu też jest takich, którym tylko wakacje letnie pozwalają zwiedzić Rzym polski, lub jak dziś to miasto nazywają — Ateny polskie. To też dzięki temu, urządzają się o tej porze wszelkie zjazdy naukowe, artystyczne, towarzyskie i t. d.

W tym roku szereg zjazdów rozpoczął zjazd arystokracji naszej na gody Sapieżyńskie: Sapieżanka oddała rękę hr. Stadnickiemu, a młody Sapieha ożenił się z hr. Potulicką; śluby odbyły się jednego dnia, a przybył też

jednocześnie i trzeci — hr. Morsztyna. Do stu rodzin magnackich z całej Polski zagłuszyło spokojny Kraków turkotem wspaniałych pojazdów i olśniło go nie mniej bogatą kolekcją brokatów, lamy złotej i drogich kamieni. Początek sezonowy nieźle otwarto, bo hymnem szczęścia, chciałam powiedzieć — małżeństwa. Za dziesięć dni rozpoczyna się zjazd pedagogiczny, następnie przyrodniczo-lekarski, mający się uwieńczyć obchodem jubileuszowym czcigodnego Prezesa Akademii umiejętności, dr. Józefa Majera i dopiero pociągną, jak stada żorawi, nieustannie gromady wędrowców w Tatry. Oba zjazdy będą dość liczne, bo Towarzystwo pedagogiczne, samo przez się najliczniejsze w kraju, dostarczy niemałego kontyngensu, a przyrodników i lekarzy z całej Polski zgłosiło się już dotychczas do 500 osób. Że zaś zjazd przyrodników nastąpi bezpośrednio po zjeździe pedagogicznym, że więc w obu wezmą jedni i drudzy udział, nie licząc profanów z całej Polski — ruch będzie niezwykle. Do 4-ch tysięcy przyjezdnych z pewnością spodziewać się należy.

Działalność i zjazdy doroczne Towarzystwa pedagogicznego budzą zwykle w całym kraju najżywszy interes: wszak to sprawa kształcenia najmłodszego pokolenia — przyszłości Polski. Powiadam kształcenia, a dodać muszę szkolnego; ku temu bowiem głównie skierowaną jest działalność Towarzystwa, pomagając w ten sposób zadaniu władz szkolnych. Działalność to pożyteczna, ale niewyczerpująca całego zadania: pozostaje kształcenie domowe i wychowanie w szerszym znaczeniu tego wyrazu. Nauczyciele szkół publicznych, przeważnie będący członkami Towarzystwa, rzadko kiedy podnieść zdołają głos w tej drugiej części zadania. Gdy takowa nie jest specjalnym przedmiotem zajęć żadnego stowarzyszenia, pozostawiona więc została pieczy ognisk domowych, a zwłaszcza niewiast naszych. By ulżyć ich zadaniu, powstaje tu obecnie wydawnictwo pod tyt. *Skarbiec Polski* (ilustrowany) z inicjatywy wydawców czytelnicy ludowej, a przy udziale licznych sił pedagogicznych, literackich i artystycznych. Będzie to wydawnictwo zbiorowe i peryodyczne (co miesiąc zeszyt), a przedmioty traktować się mające: dzieje polskie, podróże po ziemiach polskich, życiorysy zasłużonych Polaków i Polek, abecadniki polskie historyczne, twory celniejszych poetów polskich — zastosowane do pojęć młodocianych, opowieści historyczne polskie i t. p. Zeszyty będą tak wydawane, aby każdy dział utworzył oddzielne dziełko. Dążność wydawnictwa — prowadzenie wychowania w duchu narodowym polskim.

Na czas zjazdu odłożono też jubileusz Dr. Majera. Wiele jest programów obchodu tego jubileuszu, a wiele też przygotowuje się adresów uznania i powinszowań dla zasłużonego prezesa, nie licząc wielkiej masy portretów, uwieczniających tę typową postać. Z pomiędzy portretów wyróżnia się wielkiem podobieństwem i ozdobnie wykonany fotodruk, — jako dodatek do *Przewodnika bibliograficznego*, wydawanego tu od lat paru przez znanego bibliografa naszego, Dr. Wisłockiego. Pismo to wychodzi w zeszytach miesięcznych i jest jedynem pismem bibliograficznym w całej Polsce. Korzystając z obu powyższych zjazdów, Towarzystwo Tatrzańskie urządza przy tej sposobności gromadną wycieczkę w Tatry. Jeżeli przygotowania udadzą się, a chęci wędrowców sprzyjać będą, wyruszy od razu w góry parę set osób. Wycieczka więc to być może jedyna w swoim rodzaju, a i koszta z powodu licznego udziału znacznie mniejsze, niż zwykle. W przewidywaniu, śnać, niezwykłego dopominania się o przewodnik, p. Eliaszy wydał najnowszy swój *Przewodnik do Tatr i Pienin*, znacznie uzupełniony i ozdobiony pięknymi drzeworytami. Książka ta pod względem opracowania, zewnętrznych ozdób i taniości, jeśli nie przewyższa, to dorówna najlepszym tego rodzaju publikacjom zagranicznym.

Mówiąc o nowo wydanych książkach i pismach, pominąć nie godzi się upadku, jakiego doznało *Muzeum*. Dwutygodnik literacki i naukowy, wychodzący tu od Nowego roku pod redakcją Dr. Tadeusza Rutowskiego. Było to jedyne pismo poważne, szerokiego zakresu w kierunku po-

stepowym, jednoczące w sobie prace najznakomitszych sił literackich z całej Polski. Dla braku prenumeratorów upadło, pochłonięwszy znaczne ofiary i wiele trudów swego wydawcy i redaktora. Żałując tego teraz tutajsi mecenasi, ale — po niewczasie.

Przybytek sztuk, nauk i literatury, Kraków, mimo zawodów, doznanych przez adeptów i pracowników, gromadzi ustawicznie nowe siły i specjalności w każdym dziale. W tych czasach osiedlili się tu dwaj specjaliści, artyści-malarze: p. Fabiański, malarz alfreskowy, chlubnie znany za granicą i w kraju z talentu przyozdabiania świątyń i p. Gałuszkiewicz, malarz obrazów religijnych, celujący niezrównaną dokładnością w kopiowaniu mistrzów starej szkoły, jak Murilla i Rafaela. Wobec tego, że Kraków nie może być uważany za miasto prowincjonalne Galicyi, lecz ma doniosłość stolicy polskiej, świeżo odbyte wybory do tutajszej Rady miejskiej nabierają znaczenia szerszego, nie li tylko miejscowego; na gospodarkę bowiem naszych radców (30 naszych radców wybiera się co trzy lata w miejsce wylosowanych, drudzy 30 pozostają na dalsze trzy lata) patrzy cała Polska. O tem zapomniawszy pewna frakcja wyborców, domagająca się zaniechania myśli przyozdabiania Krakowa, a natomiast ograniczenia wydatków budżetowych do potrzeb podrzędnych brukowych.

O działalności komitetu w sprawie pomnika Mickiewicza doniosę w następnym liście. Wiele ciągle słyszymy o prześladowanych Unitach z Podlasia; zbierają się nawet nieraz na nich składki, a jednak udział takowych nie wydaje mi się zadawalniającym. Kto nie ma odwagi wspomnieć się o ratunek — bywa zapomnianym. Do takich należy przebywający tu od kilku lat z rodziną, czcigodny kapłan Bojarski, który, mimo doznanych prześladowań i poniesionych dla kościoła i Polski zasług, oddany został na pastwę losu, z którym u nas walka jest zbyt ciężka.

WIADOMOŚCI LITERACKIE I SPRAWY BIEŻĄCE.

Muzeum narodowe polskie w Rapperswylu. Instytucja ta w obec zadania swego, jakim jest odszukiwanie i gromadzenie dzieł sztuki i nauki, oraz pamiątek historycznych polskich, rozproszonych po obczyźnie, by je przechować dla przyszłości, nikomu z nas nie może być obojętną, a szczególnie w czasach ostatnich, gdy takowe przez nieprzyjaciół bywają systematycznie niszczone.

Dwunastoletnie istnienie tego zakładu i rozwój jego pośród trudności wykazują, że praca specjalnie poświęcona ochranianiu tego, co prześladowania polityczne, ciążące na nas, niszczą, jest niezbędnie potrzebną, a następnie, że prowadzona jest rozumnie i z wytrwałością godną naśladowania. Ogół nasz zrozumiał użyteczność tej instytucji, spiesząc jej z pomocą ze względu na przyszłość, od której czuje i wie, że nas dzieli burzliwe czasy, mogące przynieść wielkie zniszczenia, nim nam zejdzie upragniona zorza wolności.

Liczba biorących udział we wzroście i czynnościach zakładu tego powiększa się z każdą chwilą, dziś nie brak mu przyjaciół nawet między obcymi, wśród których w skutek naszych nieszczęść politycznych, znajduje się nieraz więcej pamiątek polskich i materiałów do dziejów naszych, niż u nas samych.

Cudzoziemcy zwiedzają licznie te polskie instytucje na obczyźnie, przypominają sobie nasze usługi i cierpienia dziejowe, przekonywują się naocznie o obecnych usiłowaniach i patriotyzmie naszego kraju. Obywatelska praca i ofiary, jakie widzą w tej instytucji, składane dla przyszłych pokoleń, zachęcają ich do zwrócenia niejednej z pamiątek polskich, któreby bez tej instytucji na zawsze dla Polski przepadły.

Ze względu więc na rozwój tej instytucji i coraz szerszą jej działalność, oraz interesowanie się nią powszechniejsze, zamieszczać będziemy nadsyłane nam sprawozdania o jej czynności i postępie.

W miesiącu maju r. b. zbiory muzealne w Rapperswylu wzbogaciły się znacznie. Dary te pochodzą częściowo od swoich, a częściowo od cudzoziemców. Ważniejsze z nich wymieniamy.

Śp. major Ruszczewski przekazał testamentem pałac, pozostały po generale Józefie Wysockim, a ofiarowany r. 1862 markizowi Pallavicini przez szkołę wojskową polską w Cuneo, jak wskazuje napis złożony wśród takichże ozdób, położony po obu stronach ostrza. Hr. Władysław Plater (Dzieło Dusburga. Chronicon Prussiae z drzeworytami. Jena 1679). P. Wł. Mickiewicz (dzieła własne). P. Henryk Bukowski (rzadkie sztychy: portrety Anny Jagiellonki i Zygmunta III. oraz wiele dokumentów historycznych XVII wieku). P. Boban (różne pomniejsze dzieła). Pani Helena z Dobieckich Holban (do bogatego zbioru w muzeum rapperswylskim różnych pamiątek i papierów z czasów Jana III., a których opis nam podał p. Biechoński w Dwutygodniku krakowskim „Muzeum“ z 15 kwietnia zeszyt VIII., ofiarowała oryginalny przywilej Jana III. z r. 1695, wydany Petraszkanowi Tensulowi na dziedziczne posiadanie dóbr). Wszystkie te dokumenty z czasów Sobieskiego, zebrane pomiędzy obcymi staraniem tego zakładu, a ciągle pomnażane nowo nadsełanymi materyałami, opracowuje p. Biechoński, mając je wydać, jako źródła historyczne, pochodzące z archiwum muzeum rapperswylskiego, na pamiątkę 200 letniej odsieczy pod Wiedniem. Julian Mörs z Poradowa (dzieła własne). P. A. Giller w podróży swojej po Włoszech zebrał wiele starych i nowych dzieł, tak rodaków naszych, piszących po włosku, jak i Włochów, którzy opracowywali nasze dzieje i literaturę w swym języku. Materyał ten, nie w jednym względzie u nas zaniedbany, wspomógł znacznie bogatą tutaj bibliotekę. Obok tego p. Giller ofiarował greckich i łacińskich klasyków wydania stare jak np. dzieła Plutarcha — Wenecja 1538 r., Aristotelesa — Paryż i Bazylea 1530, Salustjusza — Wenecja 1547 r. Demosthenesa — 1607 r. i nakoniec do zbioru rzeźb przybyły z daru jego popiersie Platona i posązek Homera. Polka z Ukrainy: portret Van Dyka. Jest to kopia z obrazu tegoż artysty, którą wykonała sama ofiarodawczyni. Praca ta wyższego talentu zapowiada artystce piękną przyszłość. P. Krystyn Ostrowski kilka ważnych pamiątek z r. 1831 i 1848, jako też rzadkie druki i odezwy z tych czasów, obok przekładu Kochanowskiego Jerozolimy wyzwolonej. Kraków 1687 r. P. A. Barwiński (swoje własne dzieła). Ks. A. Krechowicki testament z r. 1756, rękopis oryginalny i kilka dzieł własnych. Dr. Roszkowski (dzieła własne). Dr. Radziszewski (dzieła własne). P. Rothman portret olejny ks. A. Czartoryskiego roboty Ewersa z r. 1829. Pani Mańkowska z Dąbrowskich portret olejny swojego ojca, generała Henryka Dąbrowskiego. P. A. Malczewski papiery z r. 1848, portret olejny Feliksa Białoskórskiego żołnierza z 1831 r. i zwycięzcy z pod Miłosławia, kilka rzadkich sztychów, oraz mundury wojskowe polskie z pod Ostrołki z 4-go i 1-go pułku strzelców i wiele innych pomniejszych pamiątek.

Zwiedzających muzeum w miesiącu maju było stokilkadziesiąt osób. Czytelnia, w której się znajduje znaczna liczba dzienników obcych, a przeszło czterdzieści polskich, jako też różnych miesięczników i tygodników, nadsełanych od redakcyi do zbiorów muzealnych, bywa nieustannie odwiedzana. Obecnie od kilku dni wystawione są w głównej sali muzeum w dobrem oświetleniu „pochoźnie Nerona“ Siemiradzkiego. Obraz ten ściągając niezwykłą liczbę gości, którzy w tym czasie z całego świata napływają do Szwajcaryi.

— **Książka młodej kobiety** przez p. Anastazyą Dzieduszycką, odznaczającą się chlubnie literackimi pracami na polu wychowania, jest dziełkiem mniejszych rozmiarów,

ale pod każdym względem na pochwałę zasługującym. Jest to niejako kodeks życia młodej kobiety, żony i matki, w formie rozumnej, serdecznej pogadanki, która czytelniczki przejąć może szlachetnem umiłowaniem ludzkości i poważnych życia obowiązków. Życzyć należy, ażeby nasze panie skwapliwie się wzięły do czytania tej wybornej książki.

— **Pierwsze początki czytania i języka francuzkiego dla użytku polskich dzieci.** Trzecie wydanie, poprawione i znacznie powiększone. W Poznaniu, nakładem autorki (p. R. Rzepeckiej), czcionkami W. Simona 1881. Z radością powitaliśmy to nowe wydanie dziełka, opracowanego podług wszelkich wymagań pedagogicznych, nie znamy bowiem łatwiejszego i przedszego sposobu uczenia dzieci naszych obcego języka, jak właśnie ten, którego w swej pracy użyła autorka.

* * *

— **W Królestwie Polskim**, w powiecie piotrkowskim otworzyła pani Kamocka we wsi swojej, Galoszach, sklep dla ludu wiejskiego, zaopatrzony tak w przedmioty żywności, jak i inne towary, do potrzeb wiejskich zastosowane. Z sklepem tym połączyła zacna obywatelka czytelnię, gdzie obok książek, kupujący włościanie czytać mogą oba ludowe pisma, wychodzące w Warszawie: *Zorzę* i *Gazetę świąteczną*. Myśl to prawdziwie filantropijna i ma dobro ludu na celu, bo założycielka sprzedając mu lepsze, a tańsze rzeczy, chroni go przed oszukaństwem żydów po miasteczkach, usuwa potrzebę wydalania się z domu, a wreszcie przez rozpowszechnianie czytania szerzy oświatę, której brak wielki naszemu ludowi w Kongresówce.

— **Pośród inżynierów**, zatrudnionych pracą przy między morzu Panama, Polacy odznaczają się wytrwałością i sumiennością chwalebna. Niedawno wróciło stamtąd do Paryża kilkunastu inżynierów Francuzów, zniechęconych trudami i niewygodą pracy, a pozostali na miejscu są prawie wszyscy Polakami.

Łamigłówa.

a, ar, ce, cła, czaj, czyk, deń, di, dyt, e, ga, ghi, go, il, in, in, kow, ku, le, li, mar, me, mem, mi, mis, nau, ne, niec, non, o, pa, pho, pi, po, ra, ra, raj, rej, ri, ri, si, ski, sou, te, ti, wa, wi, wie, wrzy, y, zyp.

Znaczenie wyrazów: 1. inie męskie — 2. rzeka — 3. kamienie — 4. kronikarz — 5. snycerz grecki — 6. astronom z XVIII. wieku — 7. jedna z furi — 8. stolica — 9. miasteczko w Turynii — 10. wyznawca zasad greckiego filozofa — 11. farba — 12. herb — 13. miejsce jednej z bitew oręża polskiego — 14. wojownik w trojańskiej wojnie — 15. powieściopisarz polski — 16. hiszpański pejzażysta.

Początkowe litery tych wyrazów, z góry na dół czytane, wskażą, gdzie stroskany znajdzie to, co utworzą końcowe litery także z góry na dół czytane.

Rozwiązanie łamigłówki

z nr. 20 „Dwutygodnika.“

1. Kalejdeskop — 2. Tyro — 3. Opal — 4. Róza — 5. Arvak — 6. Niemen — 7. Ossoliński — 8. Wesela — 9. Semiramis — 10. Tytuł — 11. Atumu (lub Atum, jedno z dwunastu drugorzędnych bóstw starego Egiptu.) — 12. Jadźwing — 13. Eleonora — 14. Turban — 15. Elemi — 16. Morze — 17. Ukaz — 18. Platon — 19. Afryka — 20. Niemiec — 21. Barzo (Barzu, bóstwo i zarazem bohater wielkiej perskiej epopei: Barzu-Nameth) — 22. Ornat — 23. Goplo — 24. Dupanloup — 25. Armata — 26. Jarocin — 27. Esterhazy.

(Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.)
(Polak nie sługa, nie zna co to pany.)

Rozwiązania mniej więcej dobre nadesłały panie: Wanda Bukowiecka w Poznaniu, Jadwiga Jarochowska w Wrocławiu, Anna Chlapowska w Bonikowie, Iza Kierska w Brzeznach — Panowie: Stefan Żupański w Poznaniu, Karol Nieżykowski w Kaliszanach.

Najpierwsze, zupełnie dobre rozwiązanie nadesłała i otrzymała nagrodę Pani Albertyna Cegielska w Poznaniu.

Treść: Artykuł wstępny: Dwa grosze na drogę życia. — Trzy spotkania, wiersz Hajoty. — Z rękopisów Zygmunta Krasńskiego, urywek przez N. N. — Powieść o minionem szczęściu przez * * * (Dokończenie nast.) — Korespondeney Dwutygodnika: Paryż, Rzym, Kraków. — Kronika literacka i sprawy bieżące. — Łamigłówa. — Rozwiązanie łamigłówki w Nr. 20.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialna Teresa Radońska w Poznaniu. — Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Lebiński) w Poznaniu.